



DEMENCIA DUDLEYA

Najbardziej upalny dzień lata powoli dogasał i między dużymi, klockowatymi domami przy Privet Drive zaległa senna cisza. Zwykle wypucowane samochody zaparkowane na podjazdach pokrywał kurz, a trawniki, niegdyś szmaragdowozielone, całkiem zmarniały i pożółkły, jako że z powodu suszy zakazano je podlewać. Pozbawieni możliwości mycia samochodów i pielęgnowania trawników mieszkańcy Privet Drive skryli się we wnętrzach swych chłodnych domów, otwierając na oścież okna w płonnej nadziei zwabienia choćby najbliższego powiewu wiatru. Jedyną osobą, która pozostała na zewnątrz, był kilkunastoletni chłopiec, leżący na wznak pośród kwiatów przed domem numer 4.

Był to czarnowłosy chłopiec w okularach, chudy i zaniedbany, sprawiający wrażenie, jakby znacznie urósł w stosunkowo krótkim czasie. Miał na sobie brudne i podarte dżinsy, workowatą i wypłowiałą koszulkę, a podeszwy jego adidasów odklejały się z przodu. Trudno więc się dziwić, iż Harry Potter budził niesmak w mieszkańcach Privet Drive, święcie przekonanych, że za niechlujny wygląd powinno się trafiać do aresztu albo przynajmniej płacić mandaty. Teraz jednak, ukryty za wielkim

krzakiem hortensji, nie był widoczny z ulicy. Tylko dwie osoby mogły go tutaj dostrzec: wuj Vernon i ciotka Petunia, i to tylko wtedy, gdyby któreś z nich przypadkiem wychyliło głowę przez okno salonu i spojrzało prosto w dół, co w porze wieczornych wiadomości wydawało się mało prawdopodobne.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, Harry pomyślał, że dobrze zrobił, ukrywając się za krzakiem hortensji. Na rozgrzanej, twardej ziemi może i nie było zbyt wygodnie, ale tu przynajmniej nikt nie łypał na niego spode łba, zgrzytając zębami tak głośno, że nie słyhać było spikera, co zdarzało się za każdym razem, kiedy próbował obejrzeć wieczorny dziennik telewizyjny w salonie, razem z wujem i ciotką.

Nagle, jakby ta myśl wyfrunęła mu z głowy i wpadła przez okno do salonu, usłyszał głos swojego wuja, Vernona Dursleya:

— Dobrze, że ten chłopak przestał się tu wciskać. A właściwie to gdzie on jest?

— Nie wiem — odpowiedziała lekceważąco ciotka Petunia. — W domu go nie ma.

— On i wieczorne wiadomości! — prychnął pogardliwie wuj Vernon. — Bardzo bym chciał wiedzieć, co mu znowu chodzi po głowie. Normalni chłopcy w jego wieku nie interesują się tym, co się dzieje na świecie... Mogę się założyć, że Dudley nie ma o tym pojęcia, wątpię nawet, czy wie, kto jest naszym premierem! A ten... Chyba się nie spodziewa, że w naszym dzienniku powiedzą coś o osobnikach JEGO pokroju...

— Vernon, ciicho! — syknęła ciotka Petunia. — Okno jest otwarte!

— Och... tak... wybacz mi, moja droga...

Dursleyowie zamilkli. Harry słuchał reklamy zachwalającej śniadaniową mieszankę z owocami i otrębami, obserwując panią Figg, lekko stukniętą staruszkę z pobliskiej uliczki Wisteria Walk, znaną ze swojej miłości do kotów. Szła powoli ulicą, marszcząc czoło i coś do siebie mrucząc. Harry jeszcze raz

pogratulował sobie pomysłu ukrycia się za krzakiem hortensji, bo pani Figg od pewnego czasu zapraszała go na herbatkę za każdym razem, gdy go spotkała. Doczłapała do rogu ulicy i zniknęła mu z oczu, zanim przez okno salonu przetoczył się ponownie głos wuja Vernona.

— Dudziaczek na podwieczorku?

— U Polkissów — odpowiedziała z dumą ciotka Petunia. — Ma tylu przyjaciół... wszyscy koledzy go uwielbiają...

Harry z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Dursleyowie nie mieli zielonego pojęcia o tym, co robi ich ukochany synalek Dudley. Wierzyli we wszystkie jego łgarstwa, choć szyte były naprawdę grubymi nićmi. Przez całe wakacje wciskał im kit, twierdząc codziennie, że jest zaproszony na podwieczorek do domu któregoś z członków swojej bandy, a w rzeczywistości każdy wieczór spędzał z nimi w parku, niszcząc, co się dało, paląc papierosy na rogach ulic i obrzucając kamieniami samochody i dzieci. Harry widywał ich często podczas swoich wieczornych spacerów po Little Whinging. Większość wakacji spędzał, wędrując po ulicach i wybierając ostatnie wydania gazet z koszu na śmieci.

Usłyszał sygnał muzyczny obwieszczający wieczorne wiadomości o dziewiętnastej i serce zabiło mu szybciej. Może dzisiaj... po całym miesiącu oczekiwania... może to już się stało...

„Rekordowa liczba turystów koczuje na hiszpańskich lotniskach z powodu trwającego już drugi tydzień strajku bagażowych...”.

— Ja bym tym darmozjadom zapewnił dożywotnią sjęstę — warknął wuj Vernon.

Na zewnątrz, między kwiatami hortensji, Harry Potter odechnął z ulgą. Gdyby coś się stało, powiedzieliby o tym na samym początku wiadomości. W końcu śmierć i zniszczenie są chyba ważniejsze od uwiecznionych na lotniskach turystów...

Uspokojony, wpatrzył się w błękitne niebo. Tak było tego lata dzień w dzień: napięcie, oczekiwanie, chwilowa ulga... i znowu rosnące napięcie... I powracające z coraz większą natarczywością pytanie: dlaczego jeszcze nic się nie wydarzyło?

Nasłuchiwał dalej, na wypadek, gdyby podali jakąś wiadomość, która mugolom niewiele by powiedziała, a dla niego byłaby sygnałem, że jednak coś się zaczęło — może czyjeś niewyjaśnione zniknięcie, jakiś dziwny wypadek... Ale po doniesieniu o strajku bagażowych zajęto się suszą w południowo-wschodniej części Anglii („Mam nadzieję, że ten typ z sąsiedztwa tego słucha — ryknął wuj Vernon — i przestanie włączać zraszacze o trzeciej nad ranem!”), potem helikopterem, który miał awaryjne lądowanie na polu w Surrey, potem rozwodem słynnej aktorki z równie słynnym mężem („Jakby nas interesowały te ich obrzydliwe romanse!”, prychnęła ciotka Petunia, która od dawna obsesyjnie poszukiwała nowych informacji o tej aferze w każdym kolorowym magazynie, który wpadł w jej kościste ręce).

Zachodzące słońce rozjarzyło niebo i Harry zamknął oczy, kiedy spiker powiedział: „I na koniec coś weselszego! Papużka Bujda z Barnsley wynalazła nowy sposób na upały: nauczyła się jeździć na nartach wodnych! Zobaczmy, czy Mary Dorkins dowiedziała się czegoś więcej...”.

Harry otworzył oczy. Skoro już mówią o papużkach jeżdżących na nartach wodnych, to nie ma co liczyć na żadną wiadomość godną uwagi. Przetoczył się ostrożnie na brzuch i uniósł na kolanach i łokciach, gotów do wyczołgania się spod okna.

Przesunął się o zaledwie dwa cale, kiedy w bardzo krótkich odstępach czasu wydarzyło się kilka rzeczy.

Najpierw senną ciszę przerwał huk, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu, spod zaparkowanego samochodu wyskoczył kot, umykając w popłochu, a z salonu Dursleyów dobiegł wrzask, przekleństwo i odgłos tłukącej się porcelany, na co Harry, jakby

tylko czekał na ten sygnał, poderwał się na nogi i błyskawicznie wyciągnął zza pasa cienką drewnianą różdżkę. Zanim jednak wyprostował się w pełni, rąbnął głową w otwarte okno salonu Dursleyów z łoskotem, który sprawił, że ciotka Petunia wrzasnęła jeszcze głośniejsze.

Harry poczuł się tak, jakby głowa pękła mu na dwoje. Z zaszawionymi oczami, ledwo stojąc na nogach, próbował wypatrzyć, co spowodowało ów hałas na ulicy, ale ledwo zdążył się ponownie wyprostować, gdy z okna wychyliły się dwie purpurowe dłonie i zacisnęły na jego szyi.

— Odlóż mi... to... natychmiast! — warknął mu w ucho wuj Vernon. — Już! Zanim... ktokolwiek... zobaczy!

— Puszczaj! — wydyszał Harry.

Przez następne kilka sekund mocowali się w milczeniu. Harry próbował lewą ręką rozerwać uścisk serdelkowatych palców na swojej szyi, w prawej ściskając mocno różdżkę. A potem, kiedy czubek jego głowy przeszył wyjątkowo silny ból, wuj Vernon zawył i sam rozwarł palce, jakby go nagle poraził prąd — jakby przez ciało Harry'ego przebiegła fala jakiejś niewidzialnej energii.

Harry upadł na krzak hortensji, dysząc ciężko, ale natychmiast wstał i rozejrzał się po uliczce. Nadal nie dostrzegał niczego, co mogło spowodować ów dziwny huk; zobaczył tylko kilka twarzy w oknach sąsiednich domów. Szybko wsunął różdżkę za dzinsy, starając się sprawiać wrażenie, jakby nic się nie stało.

— Rozkoszny wieczór! — krzyknął wuj Vernon, machając do pani spod siódemki, która łypała na niego spoza koronkowej firanki. — Słyszała pani, jak komuś strzeliło z rury wydechowej? Aż nas z Petunią poderwało!

I tak długo szczyrzył zęby w okropnie afektowanym grymasie, póki twarze zaciekawionych sąsiadów nie pozniakały z okien, a wówczas zmierzył wściekłym spojrzeniem Harry'ego i zamasztyłym gestem przywołał go do siebie.

Harry zrobił ku niemu kilka kroków, ale zatrzymał się w takiej odległości od okna, by go nie dosięgły wyciągnięte ręce wuja.

— Do jasnej cholery, co tym razem zamierzałeś zmalować? — zapytał wuj Vernon cichym, rozdygotanym od furii głosem.

— Co chciałem zmalować czym? — odpowiedział chłodno Harry, wciąż zerkając na ulicę w nadziei, że zobaczy osobę, która narobiła takiego hałasu.

— Tym hukiem, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu tuż przed naszym...

— To nie ja — oświadczył stanowczo Harry.

Tuż przy obfitej, fioletowej twarzy wuja Vernona pojawiła się chuda, końska twarz ciotki Petunii. Wyglądała na rozwścieczoną.

— Dlaczego czaisz się pod naszym oknem?

— Tak... tak, to dobre pytanie, Petunio! Co robiłeś pod naszym oknem, chłopcze?

— Słuchałem wiadomości — odrzekł Harry zrezygnowanym tonem.

Wuj i ciotka wymienili oburzone spojrzenia.

— Słuchał wiadomości! Znowu?

— No... codziennie są inne — powiedział Harry.

— Nie kpij sobie ze mnie, mądralo! Chcę wiedzieć, co ci naprawdę chodzi po głowie... i... i nie opowiadaj mi więcej tych bzdur o słuchaniu wiadomości! Dobrze wiesz, że osobniczy twojego pokroju...

— Vernonie, ciszej! — wydyszała ciotka Petunia i wuj Vernon ściszył głos tak, że Harry ledwo go słyszał:

— ...że o osobnikach twojego pokroju nie mówią w naszych wiadomościach!

— Może wam tylko tak się wydaje — rzekł Harry.

Przez kilka sekund Dursleyowie wybałuszali na niego oczy, a potem ciotka Petunia wycodziła:

— Jesteś paskudnym małym łgarzem. A co niby robią te wszystkie... — tu sama ściszyła głos, tak że Harry musiał odczytać resztę zdania z jej warg — ...te wszystkie sowy, jeśli nie przynoszą ci wiadomości?

— Aha! No i co ty na to, mądralo? — wyszeptał triumfalnie wuj Vernon. — Myślałeś, że nas tak łatwo okłamiesz? Myślisz, że nie wiemy, że te zawszone ptaki przynoszą ci wszystkie wiadomości?

Harry się zawahał. Tym razem musiał się przemóc, by powiedzieć im prawdę, nawet jeśli wuj i ciotka nie mieli pojęcia, ile go to kosztowało.

— Sowy nie przynoszą mi wiadomości — powiedział bezbarwnym tonem.

— Nie wierzę — oświadczyła natychmiast ciotka Petunia.

— Ani ja — rzekł stanowczo wuj Vernon.

— Wiemy, że coś knujesz — syknęła ciotka Petunia.

— Przyjmij do wiadomości, że nie jesteśmy tacy głupi — powiedział wuj Vernon.

— No, to dopiero jest dla mnie zupełnie nowa wiadomość — rzekł Harry, czując, jak narasta w nim złość, i zanim Dursleyowie zdążyli zareagować, odwrócił się na pięcie, przeszedł przez trawnik, przeskoczył niski murek ogrodowy i zaczął się oddalać.

Nie miał złudzeń: wpadł w tarapaty. Wiedział, że w końcu i tak będzie musiał stanąć przed wujem i ciotką i zapłacić za to niezbyt grzeczne ich potraktowanie, ale teraz o to nie dbał, bo miał na głowie o wiele ważniejsze sprawy.

Ów donośny trzask musiał oznaczać czyjaś aportację albo deportację. Taki właśnie odgłos towarzyszył zniknięciu Zgredek, domowego skrzata. Czy to możliwe, by Zgredek aportował się na Privet Drive? Może w tej chwili właśnie za nim idzie? Odwrócił się i spojrzał w głąb uliczki, ale była zupełnie pusta, a wiedział, że Zgredek nie potrafi stać się niewidzialny.

Szedł dalej przed siebie, nie zastanawiając się dokąd, bo ostatnio tak często przemierzał te uliczki, że stopy same wiodły go do jego ulubionych miejsc. Co kilka kroków zerkał przez ramię za siebie. Był pewny, że kiedy leżał wśród zwiędłych begonii ciotki Petunii, gdzieś blisko niego znalazł się ktoś ze świata czarodziejów. Ale dlaczego do niego nie przemówił, dlaczego nie nawiązał z nim kontaktu, dlaczego się ukrywa?

Poczuł gorycz zawodu i natychmiast ogarnęły go wątpliwości.

A może jednak ów huk nie oznaczał niczego magicznego? Może z takim utęsknieniem wyczekiwał na jakikolwiek sygnał ze świata, do którego naprawdę należał, że usłyszał go w jakimś najzwyklejszym odgłosie towarzyszącym codziennemu życiu mugoli? Może po prostu w sąsiednim domu ktoś coś stłukł albo przewrócił?

Poczuł mdły, nękający ucisk w żołądku i znowu ogarnęło go poczucie beznadziejności, które dręczyło go przez całe lato.

Jutro budzik obudzi go jak zwykle o piątej rano, przypominając o konieczności zapłacenia sobie za najnowszy egzemplarz „Proroka Codziennego”. Ale czy naprawdę warto dalej prenumerować ten szmatławiec? Ostatnio rzucał tylko okiem na pierwszą stronę, po czym gazeta lądowała w kącie. Kiedy ci kretyni, co redagują gazetę, zdadzą sobie wreszcie sprawę, że Voldemort powrócił, obwieszczą to wielkimi literami na pierwszej stronie! A przez całe lato Harry’ego interesowała tylko ta jedna wiadomość.

Czasami sowy przynosiły również listy od jego najlepszych przyjaciół, Rona i Hermiony, ale już dawno wyrzekł się nadziei, że znajdzie w nich wiadomość, na którą czekał.

Oczywiście nie możemy ci nic powiedzieć o sam wiesz czym... Zakazano nam pisać o jakichś ważnych wydarzeniach, bo listy mogą się dostać w niepowołane ręce... Mamy sporo roboty, ale nie mogą ci

zdradzić szczegółów... Wiele się dzieje, ale opowiemy ci wszystko dopiero, jak się zobaczymy...

Jak się zobaczymy... Ale kiedy? Żadnej daty, żadnej wskazówki. Hermiona napisała na kartce urodzinowej: *Myszę, że niedługo się zobaczymy*, ale jak długie ma być to „niedługo”? Z różnych aluzji w listach Harry wynioskował, że Hermiona i Ron są gdzieś razem, prawdopodobnie w domu rodziców Rona. Aż mu się niedobrze robiło na myśl, że oboje nieźle się bawią w Norze, podczas gdy on musi siedzieć w tym przeklętym domu przy Privet Drive. Tak był na nich zły, że kiedy na urodziny przysłali mu dwa pudełka czekoladek z Miodowego Królestwa, nawet ich nie otworzył, tylko cisnął za łóżko. Przepraszył się z nimi dopiero wieczorem, po okropnej sałatce, którą ciotka Petunia przygotowała na kolację.

I czym oni są tak zajęci? Dlaczego nie ma żadnego zajęcia dla niego, Harry'ego Pottera? Czy nie udowodnił, że stać go na więcej niż ich? Czy już zapomnieli o wszystkim, czego dokonał? Czy to nie on wkroczył na ten cmentarz, czy to nie on był świadkiem śmierci Cedrika, czy to nie jego przywiązano do nagrobka i zamierzano okrutnie uśmiercić?

Przestań o tym myśleć, powiedział sobie Harry po raz setny tego lata. Nie wystarczy ci, że nocą odwiedzasz ten cmentarz w koszmarnych snach, musisz jeszcze o tym rozmyślać, jak się obudzisz?

Doszedł do rogu i skręcił w Magnolia Crescent. W połowie ulicy minął wąską alejkę przy garażu, gdzie kiedyś po raz pierwszy zobaczył swojego ojca chrzestnego. Tylko Syriusz zdawał się rozumieć, co Harry czuje. Jego listy były równie pozbawione konkretnych informacji o tym, co się dzieje, jak listy Rona i Hermiony, ale przynajmniej zawierały rady i słowa pocieszenia, a nie jakieś mgliste, doprowadzające go do szału aluzje: *Wiem, że ta niepewność musi być dla Ciebie bardzo męcząca...*

Nie pakuj się w żadne kłopoty, a wszystko będzie dobrze... Bądź ostrożny i nie rób nic pochopnie...

No cóż — pomyślał Harry, skręcając w Magnolia Road i kierując się w stronę ciemniejącego parku — chyba się stosuję do rad Syriusza. W każdym razie nie przywiązałem swojego kufra do miotły i nie poleciałem do Nory.

Odczuwał pewną dumę, że biorąc pod uwagę gorycz i złość, które nim targały, jakoś to wszystko wytrzymał, choć jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to ukrywać się wieczorami w krzakach hortensji, w nadziei usłyszenia czegoś, co dałoby mu choćby mgliste pojęcie o poczynaniach Lorda Voldemorta. Ale mimo wszystko było coś bardzo irytującego w radach Syriusza. *Bądź ostrożny i nie rób nic pochopnie.* I to mu radzi człowiek, który przesiedział dwanaście lat w Azkabanie, najlepiej strzeżonym więzieniu czarodziejów, potem z niego uciekł, próbował dokonać morderstwa, o które był uprzednio niesłusznie oskarżony, a w końcu, wyjęty spod prawa, wyruszył w świat na ukradzionym hipogryfie!

Harry przeskoczył przez zamkniętą bramę parku i ruszył przez wypalony słońcem trawnik. W parku było tak samo pusto, jak na otaczających go uliczkach. Kiedy doszedł do huśtawek, usiadł na jedynej, której Dudley i jego banda nie zdążyli jeszcze wyłamać, otoczył łańcuch ramieniem i wpatrzył się smętnie w ziemię. Już nie ukryje się za krzakiem hortensji pod oknem salonu Dursleyów. Jutro będzie musiał wymyślić jakiś nowy sposób wysłuchania wieczornych wiadomości. A na razie czeka go tylko jeszcze jedna niespokojna, niedająca wytchnienia noc, bo nawet kiedy nie dręczyły go koszmary o śmierci Cedrika, błędził we śnie po labiryncie długich korytarzy, które zawsze kończyły się albo ślepą ścianą, albo zamkniętymi drzwiami, a kiedy się budził, miał nadal poczucie, że tkwi w jakiejś pułapce. Blizna na czole dość często dawała o sobie znać krótkim, przeszywającym bólem, ale już przestał się łudzić, że Ron, Hermiona czy

Syriusz uznają to za coś godnego uwagi. W przeszłości ten ból był ostrzeżeniem, że Voldemort odzyskuje swą moc, ale teraz, kiedy Czarny Pan już powrócił, powiedzieliby mu zapewne, że to normalne... nie ma się czym przejmować... nic nowego...

Poczucie niesprawiedliwości wezbrało w nim z taką mocą, że chciało mu się krzyczeć ze złości. Przecież gdyby nie on, nikt by nawet nie wiedział, że Voldemort powrócił! I jaką otrzymał za to nagrodę? Cztery bite tygodnie w Little Whinging, w całkowitej izolacji od świata czarodziejów, skazany na czajenie się wśród zwiędłych begonii, żeby wysłuchać głupot o papużkach jeżdżących na nartach wodnych! Jak Dumbledore mógł tak łatwo o nim zapomnieć? Dlaczego Ron i Hermiona spędzają razem wakacje, ani myśląc zaprosić i jego? Jak długo jeszcze będzie musiał znosić dobre rady Syriusza, by siedział cicho i nie pakował się w żadne kłopoty? Jak długo będzie musiał opierać się pokusie, by napisać do tego głupiego „Proroka Codziennego”, że Voldemort powrócił? Takie myśli kłębiły się w biednej głowie Harry’ego, wnętrzości skręcały mu się z bezsilnej złości, a tymczasem wokół niego zapadała parna, aksamitna noc, powietrze wypełnił zapach rozgrzanej, suchej trawy, a jedynym dźwiękiem był dobiegający spoza ogrodzenia parku odgłos przejeżdżających od czasu do czasu samochodów.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział na huśtawce, zanim jego smętne rozmyślenia przerwały jakieś głosy. Podniósł głowę i rozejrzał się. Latarnie z otaczających park ulic rozsiewały mglistą poświatę, na tyle jednak jasną, że mógł dostrzec grupkę osób zmierzających przez park. Jedna z nich wyśpiewywała jakąś sprośną piosenkę, pozostali głośno rechotali. Słysząc też było szmer opon kilku drogich rowerów, prowadzonych przez idących.

Harry szybko ich rozpoznał. Ten na przodzie to z całą pewnością jego kuzyn, Dudley Dursley, wracający do domu w towarzystwie członków swojej bandy.

Dudley był masywny jak zawsze, ale całoroczna ostra dieta i odkrycie w sobie nowego talentu bardzo go zmieniły. Wuj Vernon opowiadał z lubością każdemu, kto zechciał go wysłuchać, że jego syn zdobył mistrzostwo juniorów wagi ciężkiej w dorocznych Szkolnych Mistrzostwach Południowo-Wschodniej Anglii. Ten „szlachetny sport”, jak mówił o boksie wuj Vernon, sprawił, że Dudley stał się o wiele większym potworem niż w szkole podstawowej, kiedy Harry służył mu za jego pierwszy worek treningowy. Harry już dawno przestał go się bać, ale wcale nie uważał, by należało się cieszyć z tego, że Dudley potrafi teraz zadawać o wiele silniejsze i celniejsze ciosy. Wszystkie dzieciaki z okolicy panicznie bały się Dudleya — o wiele bardziej niż „tego Pottera”, który, jak im ustawicznie powtarzano, jest zatwardziałym chuliganem, spędzającym rok szkolny w Ośrodku Wychowawczym Świętego Brutusa dla Młodocianych Recydywistów.

Harry obserwował ciemne sylwetki członków bandy przecinające trawnik, zastanawiając się, kogo dziś pobili. I nagle złapał się na tym, że powtarza w duchu: Rozejrzyjcie się, ciemiaki... no, dalej... rozejrzyjcie się... siedzę tu zupełnie sam... no, chodźcie tu i spróbujcie...

Gdyby go zauważyli, na pewno zaraz by przylecieli, i co by wtedy zrobił Dudley? Nie chciałby stracić twarzy przed członkami swojej bandy, a z drugiej strony bałby się Harry'ego sprowokować... Ale by była zabawa! Można by sobie trochę pokpić z Dudleya i obserwować, jak cały się skręca, bo ze strachu nie może mu odpowiedzieć... a jakby któryś z jego bandy podskoczył... ha, ha, ha, jest za pasem różdżka! Niech tylko spróbują... Harry z rozkoszą wyładowałby swą złość na tych osiłkach, którzy niegdyś zamieniali jego życie w piekło.

Ale się nie rozejrzeli, nie zauważyli go, byli już prawie przy żelaznych sztachetach otaczających park. Harry zdusił w sobie impuls, aby za nimi nie zawołać... w końcu pakowanie się

w bójkę nie byłoby najmądrzejsze... przecież nie wolno mu używać czarów... mogłoby mu znowu grozić wydalenie ze szkoły...

Głosy bandy Dudleya powoli cichły, znikli mu z oczu, oddalając się Magnolia Road.

Możesz być ze mnie dumny, Syriuszu, pomyślał Harry. *Nie rób nic pochopnie. Nie pakuj się w żadne kłopoty.* Tak jest, Syriuszu, tylko że ty zachowywałeś się zupełnie odwrotnie.

Zeskoczył z huśtawki i przeciągnął się. Ciotka Petunia i wuj Vernon uważali, że kiedy wieczorem pojawia się w domu Dudley (a jemu było wolno wracać o dowolnej porze), musi być w domu i Harry; nie tolerowali ani minuty spóźnienia. Wuj Vernon zagroził Harry'emu, że jeśli jeszcze raz wróci do domu po Dudleyu, zamknie go w pokoju, więc stłumił ziewnięcie i rad nierad, wciąż nachmurzony, ruszył ku bramie parku.

Przy Magnolia Road, podobnie jak przy Privet Drive, pełno było wielkich, klockowatych domów z wypiełgnowanymi trawnikami, zamieszkanymi przez wielkich, klockowatych właścicieli wypucowanych, błyszczących samochodów, podobnych do tego, którym chlubił się wuj Vernon. Harry wolał Little Whinging późnym wieczorem, kiedy pozasłaniane okna jarzyły się żółtymi plamami w ciemności i nikt na jego widok nie mruczał pod nosem pogardliwych uwag o „przestępczym” wyglądzie. Szedł szybko, więc w połowie Magnolia Road znowu ujrzał przed sobą bandę Dudleya. Żegnali się na rogu Magnolia Crescent. Harry ukrył się w cieniu wielkiego bzu i czekał.

— ...kwiczał jak zarzynane prosię, no nie? — mówił Malcolm, a inni wtórowali mu śmiechem.

— De, jesteś naprawdę wielki, ten prawy sierpowy to było coś — rzekł Piers.

— To co, jutro o tej samej porze? — zapytał Dudley.

— Ale w mojej chałupie, starzy wybywają — powiedział Gordon.

- No to cześć!
- Cześć, Dudasio!
- Czołem, Wielki De!

Harry odczekał, aż się rozejdą, a kiedy głosy reszty członków bandy ucichły w oddali, okrążył róg i ruszył Magnolia Crescent za Dudleyem. Idąc szybko, wkrótce znalazł się tak blisko, że usłyszał jego buczenie pod nosem, całkowicie pozbawione melodii.

- Hej, Wielki De!

Dudley się odwrócił.

- A, to ty — mruknął.

- Od kiedy jesteś Wielkim De? — zapytał Harry.

— Zamknij się — warknął Dudley, odwracając się do niego plecami.

— Fajna ksywa. — Harry wyszczerzył zęby i zrównał się z kuzynem. — Ale dla mnie zawsze pozostaniesz Małym Dudziakiem.

— Powiedziałem ci, ZAMKNIJ SIĘ! — krzyknął Dudley, a jego podobne do dwóch szynek dłonie zacisnęły się w pięści.

- Twoi kumple nie wiedzą, że mama tak cię nazywa?

- Zamknij ryj.

— Ale jej chyba tego nie powiesz? A może wolisz, żebym do ciebie mówił „Dzieciaczku” albo „Pysiaczku”?

Dudley milczał. Wysilek, z jakim powstrzymywał się, by Harry’ego nie rąbnąć, wymagał całego zapasu jego samokontroli.

— No to kogo dzisiaj załatwiliście? — zapytał Harry, a kpiący uśmiech spelzł mu z twarzy. — Jeszcze jednego dziecięciolatka? Bo wiem, że dwa dni temu pobiliście małego Marka Evansa.

- Sam się o to prosił — warknął Dudley.

- Tak?

- Stawiał mi się.

— Naprawdę? Powiedział ci, że wyglądasz jak prosię nauczone chodzić na tylnych nogach? Ale, Dudasio, to przecież nie jest kpina, to czysta prawda!

Mięśnie na szczękach Dudleya zaczęły groźnie drgać. Harry rozkoszował się tym widokiem, wiedząc, że zdołał go naprawdę rozjuszyć; poczuł się tak, jakby przepompował całą swą złość w kuzyna.

Skręcili w wąską alejkę, na której Harry zobaczył po raz pierwszy Syriusza. Można nią było przejść na skróty do Wisteria Walk. Było na niej o wiele ciemniej niż na ulicach, bo nie miała latarni. Z jednej strony wznosiła się ściana garażu, z drugiej wysoki płot.

— Uważasz się za supermana, bo masz to coś przy sobie, tak? — warknął Dudley po chwili.

— Jakie coś?

— No... to, co tam chowasz.

Harry znowu wyszczerzył zęby.

— Wiesz co, Dudasio? Ty wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Bo gdybyś był, to nie mógłbyś jednocześnie iść i mówić.

Wyciągnął różdżkę. Dudley zerknął na nią niespokojnie.

— Nie wolno ci! Wiesz, że ci nie wolno. Wyrzuciliby cię z tej szkoły dla dziwaków.

— A skąd wiesz, o Wielki De, że nie zmienili regulaminu?

— Bo nie zmienili — odrzekł Dudley niezbyt pewnym tonem.

Harry zaśmiał się cicho.

— Gdybyś tego nie miał, tobyś tak się nie stawiał, co? — zadrwił Dudley.

— A ty bez tych czterech osiłków za plecami nie pobiliśbyś dziesięciolatka. A jak tam było z tym tytułem mistrza, którym tak się chwalisz? Ile lat miał twój przeciwnik? Siedem? A może osiem?

— Szesnaście, jeśli chcesz wiedzieć — warknął Dudley — a kiedy z nim skończyłem, docucili go dopiero po dwudziestu minutach. I ważył dwa razy tyle co ty. I tylko poczekaj, zaraz powiem ojcu, że to wyciągnąłeś...

— Co, polecisz do swojego tatusia? I powiesz mu, że jego cudowny synalek, mistrz szlachetnego sportu, boi się brzydkiej różdżki Harry'ego?

— Ale w nocy to już taki odważny nie jesteś, co?

— TERAŻ jest noc, Dudasio. Tak nazywamy tę część doby, w której jest ciemno.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Kiedy leżysz w łóżku!

Dudley się zatrzymał. To samo zrobił Harry, wpatrując się w swego kuzyna. W ciemności niewiele mógł dostrzec, ale wydawało mu się, że na jego twarzy widzi wyraz triumfu.

— A skąd ci przyszło do głowy, że nie jestem odważny w łóżku? — zapytał Harry, całkowicie zbity z tropu. — Niby czego mam tam się bać, poduszek, czy może czegoś innego?

— Zeszłej nocy wszystko słyszałem — wycedził Dudley. — Jak mówiłeś przez sen. Jak jęczałeś.

— O co ci chodzi? — zapytał niepewnie Harry, czując, jak coś mu się przewraca w żołądku.

Zeszłej nocy znowu we śnie odwiedził ten cmentarz.

Dudley ryknął ochrypłym śmiechem, a potem zaczął wykrzykiwać piskliwym głosem:

— Nie zabijaj Cedrika! Nie zabijaj Cedrika! Kim jest ten Cedrik? To twój chłopak?

— Ja... Kłamiesz! — odpowiedział automatycznie Harry, ale w ustach mu zaschło. Wiedział, że Dudley nie kłamał, bo skąd mógł wiedzieć o Cedriku?

— Tatooo! Pomóż mi, tato! On chce mnie zabić! Łaaaa!

— Zamknij się — rzucił szybko Harry. — Mówię ci, zamknij się! Ostrzegam cię!

— Tatuusiuuu, pomóż mi! Mamuusiuuu, pomóż mi! On zabił Cedrika! Tato, pomóż! On zamierza... NIE CELUJ TYM WE MNIE!

Dudley przywarł plecami do ściany garażu. Harry celował różdżką prosto w jego serce, czując, jak w żyłach pulsuje mu czter-nastoletnia nienawiść do Dudleya. Ile by dał za to, by móc ugodzić go jakimś silnym zaklęciem, tak żeby popęzł do domu na czworakach jak insekt, otumaniony, wymacujący drogę czułkami...

— Żebyś się nie ważył powtórzyć tego jeszcze raz — wycedził Harry. — Zrozumiałeś?

— Nie celuj tym we mnie!

— Zrozumiałeś?

— Nie celuj tym we mnie!

— Zrozumiałeś?!

— NIE CELUJ TYM WE MNIE!

Dudley wydał z siebie dziwny, zduszony wrzask, jakby go oblano lodowatą wodą.

Coś się stało z nocą. Usiane gwiazdami granatowe niebo zrobiło się nagle czarne jak smoła — znikło wszystko: gwiazdy, księżyc, mglista poświata latarni na końcu alejki. Ucichł odległy warkot samochodów i szum drzew. Powiało przenikliwym chłodem. Otoczyła ich całkowita, nieprzenikniona, głucha ciemność, jakby jakaś olbrzymia ręka zarzuciła grubą, lodowatą pelerynę na całą alejkę, odbierając im wzrok.

Przez ułamek sekundy Harry pomyślał, że niechcący użył magii, choć tak usilnie się powstrzymywał. Potem powrócił rozum: przecież nie posiadał takiej mocy magicznej, by pogasić gwiazdy. Obracał głowę to tu, to tam, starając się coś zobaczyć, ale ciemność napierała na oczy jak niesamowicie lekki woal.

Przerażony głos Dudleya wdarł mu się w ucho.

— C-co ty r-robisz?! Przestań!

— Nic nie robię! Zamknij się i nie ruszaj z miejsca!

— N-nic nie w-widzę! Ośleplem!

— Powiedziałem ci, zamknij się!

Harry stał nieruchomo, patrząc to w lewo, to w prawo. Chłód był tak dotkliwy, że cały dygotał, ramiona pokryły się gęsią skórą, a włosy na karku stanęły dęba. Wytrzeszczył oczy, wbijając wzrok w ciemność, ale nadal nic nie widział.

To niemożliwe... przecież nie mogli tu dotrzeć... nie do Little Whinging... Wytężył słuch. Przecież by ich usłyszał, zanim by się pokazali...

— P-powiem o-ojcu! — wyjęczał Dudley. — G-gdzie jesteś? Co r-rooo...

— Zamkniesz się wreszcie, czy nie? — syknął Harry. — Ja nasłuchuję...

Ale nagle zamilkł. Usłyszał coś, czego się najbardziej bał.

Nie byli sami. Prócz nich w alejce było coś, co dyszało ochrypłe i świszcząco. Harry poczuł, jak za gardło chwyta go lodowata łapa strachu, jeszcze zimniejsza od otaczającego ich chłodu.

— S-skończ z tym! P-przestań! Bo cię rąbnę, przysięgam!

— Dudley, zamknij...

LUP.

Czyjaś pięść ugodziła Harry'ego w głowę, zwalając go z nóg. Zobaczył snop białych iskerek. Po raz drugi w ciągu godziny poczuł się tak, jakby głowa pękła mu na dwoje. W następnej chwili upadł ciężko na ziemię, wypuszczając różdżkę z ręki.

— Dudley, ty kretynie! — wrzasnął z oczami pełnymi łez, dźwigając się na łokcie i kolana, macając wokół siebie w ciemności.

Usłyszał, jak Dudley wpada na płot, ucieka, potyka się.

— DUDLEY, WRACAJ! IDZIESZ PROSTO NA NIE-GO!

Rozległ się przeraźliwy wrzask i kroki Dudleya nagle ucichły. W tej samej chwili Harry poczuł za plecami powiew zimna, który mógł oznaczać tylko jedno: a więc było ich więcej.

— DUDLEY BĄDŹ CICHO! ZA ŻADNĄ CENĘ NIE WYDAWAJ Z SIEBIE GŁOSU!... Różdżka... moja różdżka — mruczał gorączkowo, a jego palce błędziły po ziemi jak pająki. — Gdzie jest... różdżka... no... gdzie... *Lumos!*

Wypowiedział zaklęcie całkiem bezwiednie, czując palącą potrzebę odrobiny światła, i ku swojemu zdumieniu i uldze ujrzał błysk parę cali od prawej dłoni. Koniec różdżki płonął bladym światłem. Harry złapał ją, podniósł się i rozejrzał.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Wysoka, zakapturzona postać sunęła prosto na niego, unosząc się nad ziemią i wysysając w siebie ze świstem noc. Spod szaty nie widać było ani twarzy, ani stóp.

Harry cofnął się i uniósł różdżkę.

— *Expecto patronum!*

Strzęp srebrzystej mgiełki wystrzelił z końca różdżki i dementor zwolnił, ale zaklęcie nie podziało właściwie i Harry rzucił się rozpaczliwie do tyłu, całkowicie otumaniony paroksyzmem strachu. Skoncentrować się...

Z czarnej szaty dementora wysunęła się ku niemu para szarych, oślizgłych, pokrytych strupami rąk. Chrapliwy świst wypełnił mu uszy.

— *Expecto patronum!*

Usłyszał swój głos jakby z oddali. Z różdżki wystrzelił kolejny strzęp srebrnej mgiełki, jeszcze węższy niż poprzedni. To już koniec, już tego nie powtórzy, nie zdoła się skoncentrować...

Wewnątrz jego głowy rozległ się ostry, piskliwy śmiech... Cuchnący, lodowaty oddech dementora wypełnił mu płuca, zaczął się dusić... *Pomysł... o czymś... szczęśliwym...*

Ale nie mógł odnaleźć w sobie niczego, co przypominało szczęście. Lodowate palce dementora już zwierzały się na jego szyi... piskliwy śmiech narastał... aż w końcu usłyszał we własnej czaszce znany głos:

— *Pokłoń się śmierci, Harry... To będzie szybkie, może nawet bezbolesne... nie wiem... nigdy nie umierałem...*

A więc już nigdy nie zobaczę Rona i Hermiony, pomyślał.

Walcząc o ostatni oddech, ujrzał w wyobraźni ich twarze.

— *EXPECTO PATRONUM!*

Olbrzymi srebrny jeleni wystrzelił z końca różdżki i ugodził dementora rogami prosto w miejsce, w którym powinno być serce. Dementor został odrzucony do tyłu, pozbawiony ciężaru jak ciemność, okręcił się w powietrzu i odleciał, podobny do wielkiego nietoperza.

— ZA MNĄ! — krzyknął Harry do jelenia, unosząc wysoko różdżkę i pędząc alejką. — DUDLEY? DUDLEY!

Przebiegł zaledwie z tuzin kroków, zanim ich dostrzegł. Dudley leżał skulony na ziemi, osłaniając twarz dłońmi. Drugi dementor pochylał się nad nim, zaciskając oślizgłe palce na jego przegubach, rozwierając je powoli, z lubością, zniżając zakapturzoną głowę ku twarzy Dudleya, jakby go chciał pocałować.

— PRZEPĘDŹ GO! — ryknął Harry.

Jeleni, którego wyczarował, przegalopował obok niego z donośnym tętentem. Pozbawiona oczu twarz była już o cal od twarzy Dudleya, gdy dementor został pochwycony między srebrne rogi i wyrzucony w powietrze, gdzie — podobnie jak jego towarzysza — wessała go w siebie ciemność. Jeleni pogalopował do końca alejki i rozplynął się w srebrną mgłę.

Księżyc, gwiazdy i latarnie uliczne zapłonęły na nowo. Ciepły wietrzyk wionął przez alejkę. W sąsiednich ogrodach zaszeleściły drzewa, a zwykły ziemski hałas samochodów przejeżdżających Magnolia Crescent nappełnił powietrze. Harry stał nieruchomo, czując, jak cały dygoce, chłonąc całym sobą ten nagły powrót do normalności. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że koszulka przykleiła mu się do ciała: był zlany potem.

Nie mógł uwierzyć w to, co zaledwie przed chwilą się stało. Dementorzy TUTAJ, w Little Whinging...

Dudley wciąż leżał skulony na ziemi, trzęsąc się i pojękując. Harry pochylił się nad nim, żeby zobaczyć, czy jest w stanie stanąć na własnych nogach, ale wówczas usłyszał za sobą głośny tupot. Instynktownie uniósł ponownie różdżkę i okręcił się na pięcie, by stawić czoło nowemu napastnikowi.

Zobaczył panią Figg, ich zwariowaną sąsiadkę. Dyszała ciężko, siwe włosy wymknęły jej się spod siatki, sznurkowa torba na zakupy dyndała z nadgarstka, a kraciaste kapcie bez pięt prawie zsunęły jej się ze stóp. Harry chciał szybko schować różdżkę, ale...

— Nie chowaj jej, głupku! — wrzasnęła pani Figg. — A jak jest ich więcej w okolicy? Och, ja chyba zamorduję tego Mundungusa Fletchera!